

Pod anteną nie ma życia

Poniższe świadectwo pochodzi od osoby, która zgłosiła się do Komitetu Protestacyjnego Przeciwko Elektroskażeniom w Lublinie.

Świadectwo to jest podobne do wielu innych, jakie do tej pory usłyszeliśmy i jest zgodne z doniesieniami, które napływają z całego świata.

Szanowny Panie

Mieszkam w Warszawie [...] ¹. Mieszkanie jest na ostatnim, V piętrze. Nade mną nie ma już żadnej nadbudówki, jak strych, pralnia itp. Stacja bazowa – 2 anteny rozsiewcze i cała pozostała infrastruktura - została postawiona w sierpniu 2006 roku podczas mojego urlopu. Jeden element, największy, znajduje się dokładnie na rogu budynku, tak że stojąc na balkonie mam go dokładnie nad swoją głową. W tej sytuacji korzystanie z balkonu w ogóle jest wykluczone. Ta antena jest około 4 m nad moim łóżkiem.

Kiedy pojawiły się na dachu nade mną anteny, byłam w trakcie szukania kupca na swoje mieszkanie. Kupiłam bowiem u dewelopera kawalerkę w Krakowie, gdzie zamierzałam się przeprowadzić. Na ten cel zaciągnęłam wysoki kredyt. Chciałam go szybko spłacić po sprzedaniu mieszkania warszawskiego, na które miałam bardzo wielu chętnych, mogłam wybierać. Całe szczęście, że od nikogo nie wzięłam zaliczki, jak mi to wiele osób proponowało.

Anteny skutecznie odstraszyły wszystkich potencjalnych kupujących. Mało tego, zostałam posądzona o to, że się zgodziłam na ten montaż, a teraz, kiedy uświadomiłam sobie zagrożenie, chcę się szybko pozbyć mieszkania. Usłyszałam wiele przykrych słów pod swoim adresem. Nikt nie chciał wierzyć, że stało się to bez mojej wiedzy i zgody, pod moją nieobecność. Zostałam z dwoma mieszkaniami, dwoma czynszami i kredytem, którego miesięczna rata to połowa mojej pensji. Znalazłam się na progu ruiny finansowej.

Ale rok temu nie wiedziałam, że to dopiero początek moich kłopotów. Najgorsze miało dopiero nastąpić.

¹ W celu upowszechnienia tego tekstu, usunięto z oryginału dane osobowe. Dokonano też dla przejrzystości kilku skrótów, które nie mają wpływu na treść merytoryczną.

Zaczęłam źle się czuć. Zwłaszcza nad ranem i w weekendy. O 4, 5 nad ranem budził mnie silny ból głowy, szum w uszach, czułam się jak w szybkobieżnej windzie. Jechałam do pracy niewyspana, rozdrażniona, zmęczona. W trakcie dnia te dolegliwości ustępowały, by kolejnej nocy pojawić się znowu. Lekarz kazał mi kontrolować ciśnienie. Okazywało się, że rano sięgało 170/100, a gdy po całym dniu pracy zjawiałam się w przychodni z prośbą o leki na obniżenie ciśnienia, lekarz nie widział potrzeby, ponieważ było prawidłowe – 130/80.

Najgorsze były weekendy, kiedy dłużej przebywałam w domu. Ból głowy bywał tak silny i mijał tylko na krótko po lekach, że zgłaszałam się do Instytutu Neurologii. Tam miałam wykonaną tomografię komputerową głowy, która wykazała obraz prawidłowy. Nie było podstaw do hospitalizacji. Zostałam odesłana do domu z zaleceniem zmodyfikowania leczenia nadciśnienia.

Dostałam nowe leki, ale sytuacja niewiele się poprawiła. Najwyższe ciśnienie miałam nad ranem, potem, po dłuższym pobycie poza domem, wracało do normy. Jeszcze wtedy nie łączyłam tych dolegliwości z antenami. Zwrócił mi na to uwagę kolejny potencjalny kupiec mieszkania, który wręcz uznał za nieuczciwe z mojej strony proponowanie komuś kupno mieszkania pod tym, co mam na dachu.

Zdarzało się, że mając za sobą kilka nieprzespanych nocy, obudzona znów bólem głowy i szumem w uszach zabierałam pościel i w szlafroku szłam do sąsiadki w sąsiedniej klatce dospać chociaż kilka godzin przed pracą. Staralam się więcej przebywać poza domem. W czasie wakacji prosiłam o klucze do mieszkań rodziny i znajomych, którzy wyjeżdżali na wakacje. Sama też byłam na urlopie. Czułam się dobrze.

W lipcu tego roku, w kilka dni po powrocie z Kołobrzegu upadłam rano po wstaniu z łóżka. Pomyślałam, że zrobiłam to zbyt gwałtownie, poleżałam chwilę i ponowiłam próbę. Znowu się przewróciłam. Świat wirował ze mną w szalonym tempie, czułam się, jakbym spadła z karuzeli. Poczułam mdłości, a przy próbie wstania kolejne zawroty. Nie mogłam dojść do łazienki, leżałam na środku pokoju i wymiotowałam. Tak było do południa. W pierwszej chwili pomyślałam o zatruciu, ale poprzedniego dnia nie zjadłam niczego, co mogłoby je spowodować, poza tym nie odczuwałam bólu brzucha, nie miałam biegunki. Tylko silne zawroty głowy i szarpające nudności. W przychodni, do której udało mi się

dotrzeć taksówką, dostałam leki przeciw zawrotom głowy i torsjom oraz kolejne zwolnienie.

Po kilku dniach przyjmowania leków poczułam się trochę lepiej. Zawroty głowy czułam cały czas. Raz silniejsze, takie że musiałam się kłaść lub usiąść, aby nie upaść, innym razem słabsze. Na wszelki wypadek przestałam jeździć samochodem.

Któregoś dnia rano stwierdziłam, że czuję się lepiej, a ponieważ miałam więcej rzeczy do zabrania, zdecydowałam się pojechać autem. Ale przejechałam tylko kilka kilometrów. Znow świat wokół mnie zatańczył, zaczęły mną szarpać nudności. Zjechałam na trawnik i włączyłam światła awaryjne. Wiedziałam, że nie mogę jechać dalej. Nie wiem jakim cudem doszłam po pewnym czasie do przychodni. Tam leżałam prawie do południa w gabinecie pielęgniarki – pobrano mi krew na wszystkie badania i zrobiono rezonans magnetyczny głowy. Córka zabrała mnie do domu. Nazajutrz odebrała opis rezonansu, który mnie przeraził: Zaniki korowe płatów ciemieniowych z poszerzeniem przestrzeni podpajęczynówkowej do 10 mm. Takie zmiany zaszły w ciągu 10 miesięcy od wyniku prawidłowego.

Pierwszą rzeczą, o którą zapytał mnie neurolog, to czy pracuję w środowisku szkodliwym, z odczynnikami chemicznymi itp. Nie, nie pracuję. Wykonuję pracę wyłącznie biurową. Czy coś malowałam w mieszkaniu, kupiłam nowe meble, wykładzinę itp. Nie. Kiedy na pytanie, czy mogę z czymś powiązać swoje dolegliwości i coraz gorszy stan zdrowia, powiedziałam o antenach neurolog uświadomiła mi, że będzie trudno udowodnić, że właśnie to jest przyczyną. Dostałam 3-tygodniowe zwolnienie, bym wyjechała do rodziny, żeby się przekonać, że poza domem te objawy ustąpią. Wyjechałam. Już po tygodniu czułam się zupełnie dobrze. Spałam, nie odczuwałam zawrotów, zapomniałam o nudnościach, jeździłam nawet na rowerze. Ale zwolnienie się skończyło i wróciłam do pracy, a więc i do swojego mieszkania.

Wystarczyło kilka dni, bym znow zaczęła odczuwać zawroty. Profesor radiolog, do którego zostałam skierowana z prośbą o porównanie badania obrazowego z lipca i sprzed 10 miesięcy, stwierdził to samo oraz: dyskretny zanik górnego mózdzku. Zalecił kontrolę za rok. Też zapytał, czy przebywam w środowisku jakichś czynników toksycznych. Na informację o antenie powiedział krótko: to będzie pani bardzo trudno udowodnić.

Na początku września obudziłam się w nocy z silnym swędzeniem skóry głowy, czoła, powiek, płatków uszu. Miałam zaczerwienioną, spuchniętą twarz z liszajami i wypryskami. Po kilku godzinach swędziało mnie już całe ciało. Siedziałam na łóżku i drapałam się jak zapchlone zwierzątko. Bez opamiętania, do krwi. Zastanawiałam się, co mnie tak uczuliło. Nie miałam nowych kosmetyków, niczego nowego do domu nie kupiłam. Nie jestem alergikiem, nigdy na nic tak nie reagowałam. Zażyłam wapno, jakieś leki antyalergiczne. Do rana było trochę lepiej, więc pojechałam do pracy. W ciągu dnia stopniowo swędzenie ustępowało. Niestety wieczorem nasilało się znowu, a noc była już nie do wytrzymania.

Internistka, do której poszłam po pracy, przepisała mi leki przeciwhistaminowe i poleciła zmienić otoczenie. Znowu dostałam zwolnienie. Wyjechałam do rodziny. Ponieważ już po dwóch dniach czułam się lepiej, nie brałam leków.

Znajomi pomogli mi znaleźć mieszkanie. 10 września wróciłam do Warszawy, ale nie do swojego mieszkania. Wzięłam najpotrzebniejsze rzeczy i już 3 tygodnie koczuję w obcym domu. Mam [własne] mieszkanie, którego nie mogę ani sprzedać, ani wynająć, a przede wszystkim nie mogę w nim przebywać.

W tym roku byłam już prawie 90 dni na zwolnieniu lekarskim. Zdaję sobie sprawę, że jestem bardzo kłopotliwym pracownikiem. Nie wiadomo czy w ogóle przyjdę, a jeśli już, to czy będę w stanie zrobić szybko i dokładnie to, co należy do moich obowiązków.

Przychodzi mi to z coraz większą trudnością – mam kłopoty z koncentracją, pamięcią, coraz szybciej się męczę i jestem bardzo rozdrażniona. Wszyscy po pracy wracają do domu, żeby odpocząć, ja odpoczywałam od swojego domu w pracy, starałam się przebywać w nim jak najmniej. Nawet chorować nie mogłam we własnym łóżku.

Jestem u kresu wytrzymałości psychicznej. W porównaniu do stanu sprzed roku, kiedy byłam w pełni sił, zapału i planów na przyszłość, teraz jestem wrakiem człowieka. W obcym mieszkaniu, z rzeczami w walizce, bez pieniędzy i z garścią leków. Najgorsza jest jednak świadomość, że domu nie pozbawiła mnie ani wielka powódź, ani huragan, ale ludzie swoją bezmyślną decyzją, za którą stoją wielkie pieniądze.